

Fadlallah, Emir Rzewuski, stado króla wirtemberskiego

Stefan Bojanowski

Do stada w Babolnie, któremu zawdzięczamy dostanie się starego Ag-hil-Agi z Arabii do Sławuty, a syna jego ze Sławuty przez Gumniska, Jabłonów i Torskie do Chotowa, sprowadza Rząd austro-węgierski systematycznie do dziś dnia oryginalne orientalne reproduktory i matki, aby chów tamtejszych koni utrzymać w kierunku jak najczystszej krwi i na wysokości tego zadania, jakie stado o ma do spełnienia w ogólnej hodowli niektórych krajów koronnych.

Między końmi, które dostały się z dalekiego Wschodu wprost do Baboiny, widzimy dziewięć ogierów zakupionych w r. 1876 przez hr. Franciszka Zichy w Konstantynopolu po śmierci sułtana. Były to ogiery: „Schiarrak“, „Radban“, „Dervisch“, „Rudschan“, „Arrak“, „Sayd“, „Kadir“, „Dyeilan“ i „Gallad“, a przyprowadził je młody Arab Fadlallah el Hedad.

Fadlallah pozostał na Węgrzech, przyjął chrzest, otrzymał imię Michał, wstąpił do wojska, nauczył się języka miejscowego i niemieckiego, — dosłużył się prędko rangi pułkownika i został komendantem tego samego stada, do którego przed laty przyprowadził orientalne konie, co się pod tern samem, jak i on, rodziły niebem.



Pułkownik Fadlallah El Hedad.

Zaiste trudno o typowszą niż w Babolnie hodowlę, — orientalne stado, a jego kierownikiem i przyjacielem - urodzony Arab!

Jak wykopany w kurhanie kawałek zardzewiałej zbroi, odłamek ostrogi lub szabli, przypomni nam towarzysza pancernego znaku; — jak podczas podróży po kraju rodzinnym nazwisko niejednej małej i nędznej miejsciny, lub jakiej skromnej wioski, takiej np. Kochanówki lub Komarna, przywiedzie nam na pamięć skrzydlatych rycerzy, zadających cios śmiertelny wyznawcom Proroka; — jak wreszcie w jakimś podupadłym modrzewiowym dworku portret mężczyzny w kontuszu, mundurze, lub fraku z koronkowymi żabotami, a kobiety w robionym i pudrowanej wysokiej fryzurze, przypomni nam to, co pleśnią już dzisiaj okryte, to. co minęło, co znika i coraz więcej się zaciera z naszej szlacheckiej przeszłości, — tak wymienione nazwiska Aghil-Agi, Sławuty, Jabłonowa i orientalnych koni przypominają nam — ludzi stada, lepsze czasy i te naszego dawniejszego życia pełne uroku obrazy, które przeważnie do nie-powrotnie minionej przeszłości należą.

Pisząc o Beduinach, orientalnych koniach i wyprawach po nie w pustynie Arabii, musi nam mimo woli odezwać się w pamięci taki n. p. Emir Rzewuski, którego miłość do poetycznego Arabistanu, wyprawy na Wschód po konie, koczowniczy żywot w poberezkim Sawranii, wreszcie tajemnicą okryta śmierć na polach Daszowa sprawiły, iż stał się legendową postacią.

Hr. Waclaw Rzewuski, syn Seweryna hetmana i Konstancyi z Lubomirskich, uposażony hojnie od natury wdzięcznymi przymiotami duszy i ciała, wrywany przez ojca i matkę, którzy się wyprzedzali w wynajdywaniu dla syna nowych źródeł wiedzy, był na przemian to pod wrażeniem głębokiego rozumu ojca, to znowu pod wpływem poetycznej i pełnej uroku duszy matczynej. Leżąca na dawnym szlaku tatarskim, opodal dziedzicznego Sawrania, upodobana przez młodego Waclawa historyczna wioska Kazawczyn, pełna ruin, pamiątek, wspomnień i rycerskich tradycji, która kołysała dumą świetnej

przeszłości poetyczną duszę młodzieńca, wreszcie zbiegły do Polski przed niełaską Sułtana jakiś iman uczony, który wtajemniczał młodego Wacława w misterye życia orientalnego, złożyły się na to, że w młodziuchną a wrażliwą duszę przyszłego Emira wionął duch Wschodu i w jego piersi ognistej uwiązył na zawsze. To też za ledwie wąż począł się sypać na dojrzewającej wardze młodzieńca, rwie się już Wacław w podróż na Wschód daleki, do którego ciągnął go dziwny czar jakiś. Tymczasem na razie inaczej się stało, bo w r. 1805 młody Wacław, nie zapominając o Wschodzie, staje na ślubnym kobiercu ze swoją krewną, piękną i pełną uroku Rozalią Lubomirską, której matka Rozalia z Chodkiewiczów, na dworze Burbonów „admirable Polonaise“ nazywana, podczas rewolucyi francuskiej śmierć poniosła za gorące do Maryi Antoniny przywiązanie.

W kilka jednak lat po ślubie różność przekonań politycznych, a przedewszystkiem społecznych, ten niebezpieczny kamień niezgody między dziećmi jednego kraju i osobami jednej rodziny, stanęły młodej parze na poprzek ich życia, które się tak szczęśliwie i świetnie zapowiadało na przyszłość. Młody, marzycielski Wacław z szerokim, gorącym i wrażliwym sercem, sympatyzując z tymi, którzy walczyli w imię swobód ojczystych i gonili po świecie za ideą wolności, był całkiem odmiennych przekonań społecznych jak jego żona, która przejęta była zasadami daleko posuniętego legitymizmu, co inaczej być też nie mogło, bo wilgotne mury paryskiego więzienia, które pamiętała, znęcanie się nad matką tłuszczy ulicznej, krwią ofiar zbryzganej, wreszcie śmierć matki pod gilotyną, na którą pięcioletnia, cudem uratowana, Rozalia patrzyła, — musiały u niej pozostawić niczem niezatarte wrażenia i zaszczerpić nieprzewyciężony wstręt nietylko do rewolucyi, ale nawet do wszelkich innych przekonań z nią spokrewnionych.

Piszącego o koniach nie jest zadaniem dalej badać i analizować dokładniej, co więcej mroziło jeszcze serca małżonków, wypada mu tylko zaznaczyć, iż pani Rozalia ze synem Leonem i córką Kalikstą, która później wyszła za księcia Teano, zamieszkała w lubelskim Opolu, a Wacław w ukochanym dziedzicznym Sawranii, gdzie uganiając się na stepowych biegunach z nadwornymi kozakami po tamtejszych wertepach i jarach, jedząc i śpiąc w namiocie, lub pod golem niebem przy koniu, prowadząc studja nad językami wschodnimi i pędząc koczownicze życie na poberezkich stepach, — stał się Arabem, nim do Arabii pojechał.

W r. 1817 zabiera wreszcie worki złotych dukatów, ludzi i konie, nadwornego lekarza Konstantego Chotyńiec-kiego, skarbnika i sekretarza Antoniego Zakrzewskiego, starego sługę Marcina, wiernego i nieodstępного kozaka Zarebkę, który razem ze swym panem zdziwaczał — i udaje się przez Grecyę i Turcyę na daleki Wschód, szlakiem przez turystę i poetę Byrona wytkniętym.

Młody Wacław z wrodzonego Rzewuskim do wojennego rzemiosła pociągu, zaciąga się jako prosty ochotnik do szeregów Mehemed-Alego, walczy przeciwko Mahabitów pokoleniu, odwagą zdobywa dowództwo większych oddziałów, a krwią tytuł i godność Emira z zaszczytnym przydomkiem Tage-el-Faher, co „wawrzyn sławy“ w naszym języku oznacza. Tego wszystkiego dla naszego Wacława było jednak jeszcze za mało, więc walczy, rzuca się i działa dalej, aż w końcu wielkorządcą a nawet panem Bagdadu i Alepu zostaje. Tutaj dźwiga z ruin sławne niegdyś pałace kalifów, urządza w nich dla siebie rezydencje wspaniałe, roztacza przepych i zbytek magnacki, między ubogich Bedu-inów rzuca dukaty garściami; zakupuje najpiękniejsze i najdroższe konie, stado jego rośnie z dniem każdym, a w miarę przybywania koni zwiększa się eskorta i służba z kilkuset ludzi złożona, — a na to wszystko idą setki tysięcy, a z nimi coraz to więcej pięknych, urodzajnych wołyńskich i podolskich włości.

Rzewuski, którego dziwnie wabiło do siebie życie awanturnicze, rzuca się, wojuje, ugania i rozbija za końmi, historycę, florę, faunę i język Arabii studjuje, a nie myśląc o przyszłości, czyta w gwiazdach, trwoni olbrzymi majątek i po pustyniach farysuje — jak urodzony Arab. Skoro się jednak zaczęły w końcu wypróżniać wory dukatów i coraz to groźniejsze o jego majątkach i włościach z kraju nadchodziły wieści, wraca do rodzinnego Sawrania młody marzyciel i szaleniec pustyni, na którego barki spadły teraz nieładna kłopoty i troski. Ze zakupionych za bajońskie sumy w Arabii koni, wysyła Rzewuski w r. 1819 przez Livorno królowi wirtemburskiemu do jego stada koni orientalnych w Weil

pod Stuttgartem 8 wspaniałych ogierów i 12 najszlachetniejszych klaczy, reszta zaś koni płynie do Marsylii i potem do Paryża, zafantowana przez bankiera i handlarza koni Dautza z Konstantynopola, któremu Emir znaczne był winien sumy. W Paryżu grecki negocjant Sakelario, wspólnik Dautza przejmuje konie i urządza dla nich ostentacyjne przyjęcie, aby zwrócić na nie szerokiej publiczności uwagę, a przez to prędzej korzystnych znaleźć nabywców. Sprzedaż ta nie była jednak tak łatwą, bo te wspaniałe ogiery i klacze były zbyt drogie jako konie użytkowe dla przeciętnego miastowego kupca. Przypadkowo poznaje Sakelario polskiego podróżnika p. Giżyckiego, obywatela z Podola, który zwiedzając stolicę Francji, zaszedł do stajen bankiera, aby jako amator i znawca zobaczyć zakupione przez Emira prześliczne okazy. Od niego dowiaduje się Sakelario, że chociaż Rzewuski chwilowo w finansowych znajduje się kłopotach, to jednak jest jeszcze takim polskim magnatem, że mu można konie do kraju odesłać, a na spłacenie długu spokojnie poczekać. A gdy Sakelario otrzymał wiadomość od swego przyjaciela Karola Sicarda, osiadłego w Odessie, że p. Giżycki jest wiarogodną osobą i że na jego zdaniu można polegać, to uszczęśliwiony śle list z propozycją układu do Rzewuskiego. Dwaj sąsiedzi pp. Sobański i Giżycki, poręczają u Sakelaria i u Dautza dług Emira, podobno przeszło 60.000 złp. wynoszący, a zwolnione w ten sposób Kohejlany wychodzą z Paryża do podolskiego Sawrania z koniuszym Schütterem i wiernym kozakiem Sokołem, którzy koni Emira w stolicy Francji dzień i noc jak oka strzegli.



Emir Rzewuski

W kwietniu 1820 roku Sawrań w odświętne przybrany szaty wita upragnionych przybyszów z dalekiego

Wschodu. Emir w białym turbanie i białym Beduina burnusie, na ulubionej białej klaczy "Muftaszara", fantastyczny, wspaniały i jak marzenie śliczny, wyruszył z licznym orszakiem na spotkanie ukochanych koni. Mołojcy sawrańscy podzuczając czapki, hulaszczą pieśnią witają w pustym stepie wyczekiwanych gości; koniuszy Schlitter z uroczystą miną składa po wojskowemu doniosłym głosem krótki raport z podróży przed podolskim Farysem, a wierny kozak Sokół płacząc i wyjąc z radości, całuje ziemię ojczystą szczęśliwy, że mu dano przed śmiercią ujrzeć

*"Jeszcze ten kraj tak miły, rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony,
Bo w noc nawet i ślepy, poznałby te stepy
Po kwiatów rodzinnych zapachu!"*

Rozpromieniony Waław w rozwianym białym burnusie uwija się między szeregami wnuków i wnuczek klaczy Proroka, podnosi z nich dery, głaszcze, pieści i przemawia po arabsku do swych ulubieńców, a one jak gdyby rozumiały znany im język, rżały do Emira radośnie i parskały wesoło. Wiele ich było, trudno dziś sprawdzić, ale jak wieść niesie było w tej gromadce, która miała w nowej ojczyźnie nowe rozpocząć życie, 81 ogierów i 33 klacze.

Przez Livorno wysłał Rzewuski już wcześniej królowi wirtemberskiemu do Weil klacze: siwą 8-letnią "Hassfourę", gniadą 8-letnią „Geyranę“, białą 8-letnią "Abon-Loulou", karą 6-letnią "Kabron", ciemnogniadą 10-letnią "Gilfy I", szpakowatą 8-letnią "Muranę", kasztanowatą 7-letnią "Sudfech“, jasnogniadą, 8-letnią „Bagdady“, złoto-kasztanowatą 8-letnią „Schakra I", jasnogniadą 11-letnią „Mobareff 1“, złotogniadą 7-letnią „Barrak“ i ciemnosiwą 4-letnią „Elkandę“, córkę na początku wymienionej klaczy „Hassfura“.

Jak Arabowie wyprowadzają pochodzenie swoich najszlachetniejszych koni od pięciu klaczy Proroka, — tak rodowody najcenniejszych reproduktorów i matek królewskiego wirtemberskiego stada sięgają sześciu klaczy zakupionych przez Emira w Arabii, a mianowicie: Hassfoury, Geyrany, Abu-Loulou, Murany, Schakry i Elkandy. Z ośmiu zaś ogierów, które królowi posłał Rzewuski, odegrał najwybitniejszą rolę w stuttgarskiej hodowli siwy ogier „Gumus-Bournon, który był do 1824 r. reproduktorem w pepinierze tamtejszego stada.

Zachwiany, powiedzmy majątkowo zrujnowany fantastyczny Emir nie znalazłszy uspokojenia w zabiegach o spłacenie długów i uregulowanie majątków, ani w pracy nad podniesieniem ludu, ani wreszcie we farysowaniu, poezyi i spiskowaniu, zrażony do przyjaciół, krewnych i żony, zerwał z ludźmi i w ostatnich latach całkiem skozaczał. Biały burnus Beduina zamienił na chłopską świtę, wygnał z domu wszelką elegancję, wytworność i zbytek; stajnię obrał sobie za mieszkanie, skóra końska była odtąd jego posłaniem, siodło poduszką, a nakryciem burka kozacza. Ostatni raz widziano go 14 maja 1831 r. pośród dymu i kul na polach daszowskich, — a jak fantastyczne było jego życie, tak i śmierć do dziś dnia tajemnicą okryta. Ulubiony biały ogier „Muktar-Tab“ bez siodła i uzdy, spieniony, zdyszany i błotem schlastany wpadł na dziedziniec stajenny w Sawranii, zwiastując przejmującym rżeniem śmierć swego pana, którego ciała nie odszukano. Że nie poległ na polu bitwy, i że nie spoczął w poświęconej mogile, to pewna, ale gdzie i jak zginął, tego nikt nie wie...

I wszystko, co pozostawił po sobie, rozwiało się i rozprószyło nieomal bez śladu; majątki uległy częściowo konfiskacie, kozacka drużyna wróciła do pługa, a wspaniałe konie rozeszły się po szerokim świecie i zginęły między ludźmi tak, że głębiej, chyba tylko studyjąc historię większych stad, jak n. p. Sanguszków, Branickich, Dzieduszy-ckich, Padlewskich, Konarskich, Orłowskich, Chrzęszczewskich, Siemieńskich, Baworowskich czasem przypadkowo spotkać się można z nazwiskiem orientального konia ze stada Emira.

Wprawdzie Waław Rzewuski pisał sam o swoich koniach p. t. „Sur les chevaux orientaux et provenants de races orientales“, ale nawet i ten, drukiem nieogłoszony, rękopis gdzieś zginął, bo syn hr. Jarosława

Potockiego, Więnczysław, siostrzeniec Emira, ofiarował go p. Teofilowi Rutkowskiemu, b. marszałkowi szlachty braclawskiej, a ten krótko przed zgonem (1881 r.) przekazał to ciekawe pismo jednemu ze swoich przyjaciół, o którego nazwisku piszący te słowa, mimo najdalej idących poszukiwań i starań, od nikogo, nawet od jego wnuczki, dowiedzieć się nie może.



Oryentalne stado prywatne króla wirtemburskiego w Weil pod Stuttgartem.

Biegają lata jeden za drugim, o śmierci złotobrodzkiego Emira krążą legendowe wieści: po pałacach możnych panów, w szlacheckich dworach, podczas uroczystości rodzinnych, na polowaniach i wieczorami przy kominku opowiadają sobie ludzie fantastyczne i pełne uroku rzeczy o dziwnym życiu skozaczałego Farysa i cuda o jego sprowadzonych z Arabistanu koniach, których pochodzenie od pięciu klaczy Proroka ponoś sto stwierdzało medali i pergaminów arabskich. Pod wrażeniem takich o Emirze wspomnień wzrasta, dojrzewa i zaczyna chować orientalne konie hr. Juliusz Dzieduszycki, syn Kajetana, a potomek tego starego Dzieduszyckich rodu, którego zamiłowanie do koni krwi wschodniej pozostało do dziś dnia dziedzicznym, bo nieomal u wszystkich mężczyzn, a nawet u wielu kobiet tej rodziny jest jakiś talent wrodzony, tkwi jakaś „żyłka“, która od wieków ciągnie ich i zachęca do chowu oryginalnych koni, a zarazem daje im pewną odrębną umiejętność i generacjami nabytą rutynę wychowywania tych właśnie koni lepiej, jak wielu innych to robi.

Hr. Juliusz Dzieduszycki rysuje nam się na tle minionych czasów i wspomnień o nim jako postać niezwykła, rzadka, — na wskroś oryginalna. Pan na Jarczowcach i licznych włościach, uzdolniony i niezwykle bystry, — wychowaniec zachodniej kultury, znawca starożytnych języków i ulubieniec salonów, leży często w stajni na perskim dywanie w zwykłym podolskim kozuchu i z fajką w ręku —

zagłębiony w księgach Homera! Trafnie scharakteryzował jego zdolności niedawno zmarły ś. p. Józef Skarbek Borowski, pisząc, że gdyby hr. Juliusz Dzieduszycki był się poświęcił chemii lub astronomii, to byłby równie zasłynął w świecie uczonych, jak zasłynął między hodowcami orientalnych koni.

Stado jarczowieckie, które hr. Juliusz odziedziczył po ojcu, może nie mogło się dawniej współubiegać co do szlachetności i wysokości krwi orientalnej z takimi stadami jak n. p. Emira Rzewuskiego, ks. Sanguszków w Sławucie, hr. Branickich w Białocerkwi, Żurowskich lub Rzyszczew^{skich}, ale wedle zachowanej do dziś dnia tradycji i nielicznych niestety zapisków musiało ono jednak należeć do jednych z najlepszych stad w kraju. Ojciec bowiem hr. Juliusza, Kajetan, otrzymał znaczną ilość klaczy po matce swej ur. Bielskiej, a klacze te pochodziły z tej epoki kiedy Bielski ożeniony z Daniłowiczówną, właściciel klucza Rychcice, ciągnącego się od Mikołajowa pod Sambor, odziedziczył znane i wysoko niegdyś cenione stado Daniłowiczów. Oprócz tego p. Kajetan Dzieduszycki zakupił wspólnie z dziadem p. Oktawa Orłowskiego z Połowiec pewną ilość klaczy ze stada Morskich na Wołyniu, których konie ród swój wywodziły od Sobieskich koni. Z początkiem XIX wieku Ańcuta, koniuszy Kickiego, ostatniego w. koniuszego koronnego, przeprowadził z Królestwa do przemyskiej ziemi jego stado, które „Królewskim“ się zwało, bo było resztką stada Sobieskich z Żółkwi, które to stado w dom ich weszło od Daniłowiczów, a ci je po Żółkiewskich mieli. Stado „Królewskie“ Sobieskich przeszło potem w dom Tarłów, Morskich, Radziwiłłów i Kickich. Część koni Kickiego nabył właściciel Rozdwian p. Sypowski, ówczesny pełnomocnik Kickich, część p. Jan Pietruski z Rudy, a część p. Kajetan Dzieduszycki do Jarczowiec. Widzimy zatem, że w jarczowieckim stadzie był dobór jak najcenniejszych matek pochodzenia przeważnie znanego, należących do wysoko uszlachetnionej wschodnio-polskiej rasy, którą wedle dziś przyjętej terminologii „pół-krwi orientalną“ nazywamy.

Chociaż to nie są jeszcze tak bardzo odległe czasy, a jednak dzisiaj już się nie wie, skąd i jakie reproduktory brał p. Kajetan początkowo do swego stada — tak się mało wówczas po dworach pisało! Podanie tylko niesie, że p. Kajetan miał je ze stajen ks. Sanguszków, hr. Branickich, Podhorskich, Padlewskich, a najpewniej od p. Konarskiego z Jajkowiec, który do swego stada zakupił kilka ogierów i znaczną ilość klaczy po Emirze Rzewuskim. Musiały jednak w Jarczowcach być z pewnością jakieś ogiery i od Emira Rzewuskiego wprost, bo o nich jest podobno wzmianka w jednym z listów, pisanych przez p. Kajetana do marszałka Aleksandra Sadowskiego na Podole. Znaną epokę w jarczowieckim stadzie stanowi dopiero szczęśliwe nabycie siwego „Bagdada“ od Greka Gioka.

Giok przyprowadził Bagdada z dalekiego Wschodu w r. 1840 do Lwowa i umieścił go w stajni na gródeckim przedmieściu. Hr. Kajetan, dowiedziawszy się o nim, kilka razy do Lwowa przyjeżdżał, ażeby go kupić, ale Grek za konia żądał sumy bajońskiej. Nie mogąc sam targu dobić, posłał syna. — Hr. Juliusz dostał od ojca na kupno pełny u 'os dukatów w złocie, zabrał wszystkie swoje pieniądze i pojechał powozem, czterema cugowymi końmi do Lwowa. Zobaczywszy Bagdada tak się zapalił, że dał za niego wszystkie dukaty, które od ojca otrzymał i te, które ze swojej zabrał szkatuły, a było ich podobno dość sporo, — sprzedał cztery konie, powóz, dery, a nawet i bat bogato srebrem okuty, ażeby żadaną za konia uzupełnić sumę i sam na Bagdadzie do Jarczowiec wierzchem przyjechał, a furman pieszo do domu powrócił.

W ten sposób zakupiony Bagdad, koń olbrzymiej hodowlanej wartości, przyszedł do Jarczowiec z oryginalnym medalem arabskim, stwierdzającym jego pochodzenie; w Arabii nazywano go „Perłą Dhagistanu“, a podniósł jarczowieckie stado od razu do tego stopnia, że ono zajęło pierwszorzędną stanowisko w kraju. Dzieci, a nawet i wnuki Bagdada, miały jeden i ten sam typ swego ojca, lub dziada, co świadczyło o niezwykłej sile reprodukcyjnej tego nieocenionego konia; — wszystkie miały czyste, suche i stalowe nogi, foremne i niezdarte kopyta, były doskonale związane, silnej budowy, ze wspaniałą osadą ogonów i miały dziwnie suche, jak gdyby pergaminem obciążone, wyraziste i dość duże głowy, osadzone na łabędzich szyjach. Rysunek tych koni był prześlizny, wzrost nie mały, a wśród całego jego pokolenia przemagała, a raczej z nader małymi tylko wyjątkami panowała maść siwa. Konie te żyły nadzwyczaj długo i były w użyciu prawie niezdarte! Bagdad zakończył swój żywot w Jarczowcach w 35 roku życia, a potomstwo jego rozchwytywane rozchodziło się po całej przestrzeni ziem polskich, — bo

zalety: użytkowość, siła odziedziczenia się i piękność tych koni były tak wielkie, że każdy niemal szlachcic-ziemianin musiał mieć w swojej stajni przynajmniej jednego syna lub wnuka Bagdada!

Z potomków Bagdada początkowo wydzierżawia, a następnie zakupuje za 6000 kor. węgierskie stado rządowe w Babolnie syna jego, młodego białego Bagdada ur. w Jarczowcach 1851 r. z Gazelli rasy Koheil Agjus, co świadczy pochlebnie o hodowlanej wartości jarczowieckiego stada. Z innych potomków Bagdada odznaczył się „Pielgrzym“, który w stadzie hr. Aleksandra Dzieduszyckiego w Izydorówce wydał znakomite konie. Jeden ze synów Pielgrzyma, siwy ogier tego samego, co i ojciec nazwiska, był przez lat wiele reproduktorem na Podolu u marszałka Aleksandra Sadowskiego w jego krasnostawieckim stadzie, w którym wytworzył jeden z najdoskonalszych i najdzielniejszych rodów tamtejszych orientalnych koni. Stary Bagdad wycisnął na jarczowieckich koniach niezatarte piętno, które się przez lat szeregi i u innych przebijało koni, gdyż nie istniała może ani jedna w Polsce większa stadnina, w którejby krwi Bagdada nie było.

W r. 1843 dzieli hr. Kajetan Dzieduszycki swoje stado między troje dzieci w ten sposób, że hr. Władysław do-staje do Jezupola 24 klacze, które później łączone z angielskimi vollblutami dały przejściowo ród tamtejszych anglo-orientalnych koni ; lir. Tytusowa Dzieduszycka w Jabłonowie otrzymuje 12 klaczy, które stały się podwaliną dzisiaj jeszcze kwitnącego jabłonowskiego stada, a hr. Juliusz staje się właścicielem Jarczowiec, starego oryginalnego Bagdada i 24 najcenniejszych klaczy.

Za życia hr. Kajetana Dzieduszyckiego w jarczowieckim dworze prawdziwie patryarchalne panowały stosunki. Właściciel wielkiej fortuny i pięknego stada, gościnny, serdeczny i hojny, na punkcie swoich koni często wielkopańską rządził się fantazją. Niezależnemu, ale wytrawnemu i pilnemu hodowcy dawał p. Kajetan ogiera często w podarunku; cena reproduktora dla współzawodnika-magnata była zawsze znacznie wyższą, niż dla szlachcica-sąsiada, — a najdrożej musiał płacić za klacz, a jeszcze więcej za ogiera zagraniczny kupiec, zwłaszcza gdy był innej narodowości i nie tego samego, co my, wyznania. Staropolskiej tradycji ojcowskiego domu pozostał wiernym syn jego. Starzy i młodzi hodowcy orientalnych koni z bliska i z daleka przebywają chętnie, często i licznie w gościnnym domu hr. Juliusza, podziwiają jego konie, studyują ich hodowlę na miejscu, a od właściciela stada tak cenne otrzymują wskazówki i rady, że hr. Juliusz w krótkim czasie stał się poniekąd wyrocznią i moralnym kierownikiem wybitniejszych stad orientalnych w kraju. Jeżeli hr. Juliusz Dzieduszycki wyraził się o jakim ogierze, że „pies“, to ogier ten nazajutrz przestawał być ogierem, a jeżeli o klaczy powiedział „woziwoda“, to ją zaraz wyrzucano ze stada i często, dla uczczenia wyroku hr. Juliusza, rzeczywiście przeznaczano do wożenia wody. W ten tak prosty sposób przeprowadzał hr. Juliusz Dzieduszycki selekcję ogierów i klaczy w stadach, których właściciele o radę pytali, a że na koniach i ich hodowli znał się doskonale, przeto jego przyjacielska rada zawsze była dobrą i dla stada korzystną! Nie da się zaprzeczyć, że był czas, kiedy hr. Juliusz Dzieduszycki wywierał u nas rzeczywiście bardzo dodatni i bardzo poważny wpływ na kierunek chowu koni orientalnych w kraju, bo ogół hodowców szedł chętnie i z całym zaufaniem za jego fachowemi wskazówkami i radą. Jedynym człowiekiem, którego wyższość w sprawach hodowli i oceny koni uznawał hr. Juliusz Dzieduszycki nad sobą, był ś. p. ks. Roman Sanguszko, — wytrawny hodowca i właściciel głośnego sławuckiego stada, syn ks. Eustachego i Klementyny Czartoryskiej z Korca. Hr. Juliusz Dzieduszycki, oprócz wielu cennych przymiotów miał jeszcze i te wszystkie niepospolite zalety, które bezwarunkowo mieć trzeba aby móżdż zostać w „wyższym stylu“ hodowcą. Posiadał bowiem prawdziwą wiedzę fachową i rutynę, które go chroniły przed prowadzeniem „na ślepo“ hodowli koni szlachetnych; umiał hodowlanej wartości dopatrzeć się u konia „pod jego skórą“, miał intuicję i zmysł twórczy, był wreszcie przez naturę hojnie obdarzony wrodzonym instynktem hodowlanym właściwym wielkim hodowcom angielskim. Hr. Juliusz Dzieduszycki wytknął sobie jasno cel hodowli i wyrobił obraz i ideał konia wschodniego, którego poważnym studiom szczerze się oddał.

Pole do robienia takich studyów było wówczas u nas bardzo szerokie, bośmy posiadali jeszcze ten wrodzony popęd, to tradycją nabyte pragnienie, to generacjami wpojone zamiłowanie do orientalnych koni, na których ojcowie i przodkowie nasi tyle wiekopomnych święcili tryumfów.

Stad wysokiej krwi wschodniej było wtedy u nas bardzo wiele, a niektóre z nich bardzo świetne. Hr. Juliusz Dzieduszycki, studiując konie orientalne i ich chów, przebywał często w Rajtarowicach, w przemyskiej ziemi, u swego przyjaciela Hr. Władysława Rozwadowskiego, byłego adjutanta generałów Chłopickiego i Skrzyneckiego, — a tam bystrym umysłem i wprawnym okiem badał i szczegółowo analizował budowę, typ, charakter, właściwości, cechy, zalety i wady przedewszystkiem ośmiu koni t. j. dwóch klaczy i sześciu ogierów, które hr. Rozwadowski sprowadził z dalekiego Wschodu za pośrednictwem swego przyjaciela i towarzysza broni p. Kruszewskiego, ówczesnego podpułkownika jazdy w służbie wicekróla Egiptu. Hr. Rozwadowski od najmłodszych lat oddawał się z zapalem hodowli orientalnych koni, z których wiele szło daleko poza granice ojczyznanego kraju. W licznych swoich za końmi podróżach zwiedzał hr. Rozwadowski w Europie nieomal wszystkie znakomitsze stajnie i zawierał stosunki z bardzo wielu znanymi hipologami, między którymi bliżej zapoznał się przez generała hr. Henryka Hardegga z koniuszym króla wirtemburskiego p. von Hügel, głośnym hodowcą i zasłużonym kierownikiem królewskiego stada w Weil. Hügel odwiedza hr. Rozwadowskiego w Rajtarowicach, podziwia tamtejsze stado, a ze sprowadzonych przez Kruszewskiego ośmiu koni zakupuje ogiera „Dzelaby’ego“ za 20,000 kor. z dodatkiem dwuletniego ogierka, którego hr. Rozwadowski sam dla siebie miał wybrać w królewskim stadzie. Wybór padł pod względem hodowlanym bardzo szczęśliwie na prześlicznego „Bajraktara“, który gatunkowo jeszcze wyżej podniósł rajtarowieckie stado. Oprócz Bajraktara był tam jeszcze jeden reproduktor z stuttgarskiego stada i to kasztanowaty ogier „Hadzi-Baba“, sprowadzony z Arabii dla króla wirtemburskiego, a następnie odkupiony przez hr. Rozwadowskiego. Hadzi-Baba zakończył życie w Chorost-kowie w znanym i do dziś dnia kwitnącem stadzie hr. Siemieńskich-Lewickich. Ogier ten, chociaż typowy, niezwykle urodziwy i wspaniale zbudowany, nie okazał się jednak jako reproduktor tak, jakby się tego można było po nim spodziewać.

Jeden z najbardziej udanych portretów koni, które wyszły z pod pędzla Kossaka, to może portret Hadzi-Baby ze stajennym kozakiem Tomkiem, pod którym każdy koń inaczej wyglądał i lepiej chodził, a który należy do historycznych postaci naszej dawnej służby stajennej. Wierny, sprytny i do wszystkiego zręczny, w Kochanówce urodzony Rusin, bez znajomości języka niemieckiego, posyłany przez hr. Rozwadowskiego z końmi lub za końmi do Wiednia, Dreżna, Berlina i Stuttgardu, wszędzie umie sobie dać radę, spełnia co do joty wszystkie polecenia i rozkazy pana. Doskonałą jazdą najtrudniejszych koni w Dreźnie w królewskim maneżu zwraca na siebie uwagę monarchy i jego dworu; odbiera za to oklaski, pochwały, podarunki a nawet bukiety; z butną miną przejeżdża po mistrzowsku w dreźnieńskim Grossgartenie w oczach licznie zebranej publiczności prześliczną klacz „Palmirę“, zakupioną przez króla saskiego od „jego“ pana i w tej stajni, w której „on“ — Tomek ujeżdża takie — jak Palmira konie! Z każdej podróży wraca do stajni swego pana zawsze ten sam, nigdy nie popsuty, pracowity, chętny i wierny, zapomina o Wiedniu, Berlinie, Stuttgardzie i Dreźnie, pielęgnuje, czyści i ujeżdża konie tak, jak na stajennego kozaka przystoi, — wreszcie żalowany przez wszystkich w tej samej wiosce, w której się urodził, umiera jako starzec na zaszczytnym stanowisku tamtejszego wójta.

W Rajtarowicach hr. Juliusz spotyka się, zapoznaje i w serdeczne wchodzi stosunki z ludźmi tej miary jak: ks. Roman Sanguszko ze Sławuty, ks. Leon Sapieha z Krasieczyna, hr. Zdzisław Zamoyski z Wysocka, hr. Tytus Działyński z Oleszyc, hr. Józef Humnicki z Hurka, hr. Leon Rzewuski z Podhorza, syn Emira, bracia Fredrowie, krewni Rozwadowskiego, bracia Konarscy i wielu, wielu takich, którzy za młodu nieomal wszyscy walczyli pod Napoleonem, następnie w narodowych szeregach podczas rewolucji 1831 roku, — a powróciwszy, okryci bliznami, na ojczyście zagony, gospodarowali na roli i chowali nieomal wyłącznie orientalne konie.

Na czele takich mężów poświęcał się wtedy pracy publicznej, gospodarował i chował konie najwyższej krwi wschodniej ks. Roman Sanguszko, wspaniała postać obywatela, rolnika i hodowcy, otoczona wdzięcznym urokiem męczennika narodowej sprawy. Każdy z nas wie, a jeżeli nie, to przecież wiedzieć powinien, że ks. Roman, rozwożąc konno w r. 1831 pod Łysobokami generałom rozkazy, wpadł w kozacką zasadzkę z towarzyszem swym, porucznikiem Brezą. Ks. Roman byłby może przy wymianie jeńców wolność odzyskał, bo na razie nieprzyjacieli nie wiedział, kogo to pojmał, — ale nieszczęście

chciało, że prowadzony przez miasteczko Lubartów, w którym często odwiedzał ciotkę swą z Sanguszków Ostrowską, napotkał na gromadkę poczciwych ludzi, która na drogę wyległa, by jeńców nakarmić. Jakaś kobiecina wiejska podając chleb, poznała niestety ks. Romana, a płacząc i zawodząc, że „wiodą naszego ukochanego kniazia“, zdradziła niebaczna, kim był prowadzony jeńiec. Ks. Roman przykuty w Żytomierzu kajdanami do drąga, pędzony do Tobolska ze zwykłymi zbrodniarzami, znaczy na śnieżnej, smutnej pustyni krwią z ran od dybów płynącą siedm tysięcy wiorst odbytej drogi. Na Sybirze znajduje ks. Roman anioła opiekuńczego w osobie pani Róży Sobańskiej, która go otacza serdeczną troskliwością, pielęgnuje, leczy z ran, zaopatruje w bieliznę, różaniec i książki nabożne, w których biedny wygnaniec i jeńiec szuka pociechy w niewoli. Nie wiadomo z jakich powodów cesarz Mikołaj wyrokiem z 16 kwietnia 1832 r. zamienia ks. Romanowi syberyjskie wygnanie na służbę wojskową w aresztanckich rotach Kaukazu, w których syn książęcego rodu i pan milionowej fortuny dosługuje się po latach — stopnia pra-porszczyka i pieniężnej nagrody 19-tu rubli! Nabawiwszy się w kopalniach Sybiru i w aresztanckich rotach nieuleczalnego kalectwa głuchoty, uwolniony wraca wreszcie do ukochanej Sławuty, ale po ukazie znowu nie inaczej jak pieszo. W drodze dostaje jednak urzędowe pismo, że mu wolno jechać powozem. Ks. Roman z tego pozwolenia korzysta, bo sercem odczuwa, że tę ulgę ma do zawdzięczenia znowu p. Róży Sobańskiej, która umiała być i rzeczywiście była taką serdeczną opiekunką politycznych wygnańców i więźniów, że ją „Różą Sybiru“ nazwano. Kiedy pani Sobańska do kraju wróciła, to księżna Klementyna, matka ks. Romana, która nie umiała się upokorzyć, kiedy cesarza Mikołaja o inny wymiar sprawiedliwości dla swego dziecka prosiła, — padła do nóg „Róży Sybiru“, dziękując jej ze łzami serdecznej wdzięczności za troskliwość, opiekę, osłode, pomoc i wszystko dobre, którym ta zacna Pani otaczała jej syna na lodach północy!

Hr. Juliusz Dzieduszycki odwiedza często ks. Romana w Sławucie; stamtąd robi dalekie wycieczki na Wołyń, Podole i na Ukrainę, gdzie zwiedza stada Branickich, Pod-horskich, Żurowskich, Szwejkowskich, Russanowskich, Je-łowickich, Rzyszczewskich, Radziwiłłów, Sobańskich, Czwertyńskich, Szaskiewiczów, Giżyckich, Sadowskich, Bobrów i wielu innych. Tam bada ten świat uroczy, tę ojczyznę naszych najrzewniejszych wspomnień i tradycji rycerskich, o których mówią do dzisiaj liczne mogiły i kurhany porzrucane na tamtejszych stepach; wsłuchuje się w smętne śpiewy teorbantów nadwornych o Ostrogskich, Zasławskich, Sanguszkach, o złotej bramie kijowskiej, o Poczajowskiej Maryi, o Turkach i Tatarach, a pod wzniosłem wrażeniem kraju, ludzi i prześlicznych tamtejszych koni — wraca do tej patryarchalnej i poważnej Sławuty, do której oprócz wielu, bardzo wielu innych rzeczy ciągnie go i tamtejsze wspaniałe stado, którego czas powstania do tak bardzo przeszłością zamglonej epoki należy.